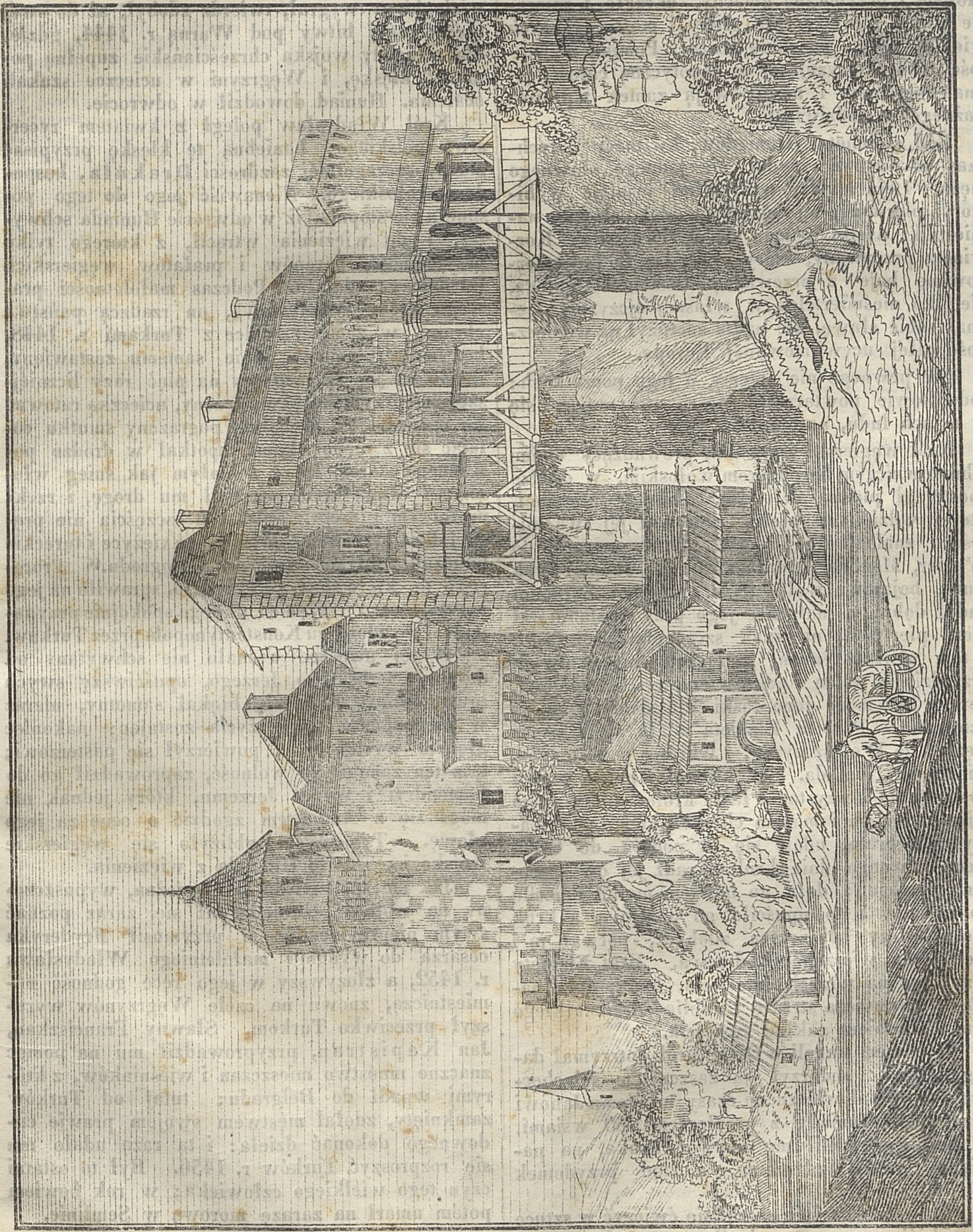
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 45.** Leszno, dnia 12. Maja 1838.



Zamek Huniady w Węgrzech.

Zamek Huniady w Węgrzech.

W Węgrzech wznosi się na skale potężny zamek Huniady, w komitacie tegoż nazwiska, ważny z położenia swego jako warownia, a bardziéj jeszcze dla wielkich wspomnień historycznych. Architektura jego bardzo jest mieszana, główne i przyboczne gmachy, okrągłe i spiczaste wieże i wieżyczki, słupy i mosty, różnych wieków barwę na sobie noszą. Pomimo rozmaitości, charakteryzującéj tę chaotyczną całość, jednak ogromem i mocą swoją zamek wprawia każdego w podziwienie.

Ród szlachetny Huniadów, kwitnący dotychczas w Austryi, wydał nie jednego sławnego męża. Lecz między wszystkimi jaśnieje w historyi pierwszéj téj rodziny przodek, sławny namiestniki wielki hetman Jan Huniady, Korwinem przezwany, który przez ciągłe i niezmordowane boje z przeważną Osmanów potęgą, nietylko nieśmiertelną w własnéj ojczyznie zjednał sobie sławę, ale nadto zasłużył na wdzięczność całéj ucywilizowanéj Europy.

Nic pewnego nie wiemy o jego początkach: rodopisowie powtarzają wieści, utrzymujące się w ustach ludu, następującéj osnowy:

Król węgierski Zygmunt, prowadzący wojnę z buntowniczym hospodarem wołoskim, w drodze spostrzegł piękną dziewicę, Elżbietę Morsinai, któréj wdziękami ujęty, ofiarował jéj swą miłość i znalazł wzajemność. Gdy powracał do Węgier, Morsinai oddała swą rękę Janowi Wok Buty, bojarowi wołoskiemu, któremu Zygmunt nadał dobra, a małżonce jego przy rozstaniu dał złoty pierścień, na znak szczególniéjszéj łaski, z tém oświadczeniem, że jeżeli kiedykolwiek przyjdzie do Ofen i pokaże ten pierścień królowi, pewną być może jego łaski dla siebie i swego dziecięcia. Poczém Elżbieta udała się z swym mężem do Wołoszczyzny, i wkrótce powiła syna, wielkiego Huniada. W kilka lat potém matka postanowiła korzystać z łaski królewskiéj; z tym więc klejnotem i małym chłopczykiem, w towarzystwie brata, udaje się w podróż do Ofen. Lecz pewnego dnia kruk ukradł jéj ów szacowny pierścień; dała go bowiem matka dziecku do zabawy i to upuściło go w trawę, a kruk spostrzegłszy błyszczącą zdobycz, porwał ją i uleciał na wierzchołek drzewa. Brat Elżbiety przybiega na wrzask dziecięcia, bierze łuk, naciąga, wypuszcza strzałę i zabija zdradzieckiego kruka i odbiera zakład szczęścia.

Niebawem stanęli w Ofen, król dotrzymał danego słowa: obdarzył ją zaszczytem szlachectwa i darował wiecznemi czasy młodemu Janowi miasteczko Huniady z przyległemi 60 wsiami. W herbie pozwolił mu używać kruka, na pamiątkę owego zdarzenia, a ztąd przydomek Korwina.

Huniady wcześnie zaczął się ćwiczyć w sztuce rycerskiéj, w wyprawach Zygmunta do Bośnii, Polski, do Wenecyi, nabył znajomości ludzi i świata, a odwagą nieraz zadziwiał rycerstwo. Tym świetnym duszy przymiotom winien był dostojeństwo, na które szybko coraz wyżéj postępował; został hrabią Temeswaru, a pod Władysławem, wojewodą siedmiogrodzkim; na tym stopniu stał się wkrótce postrachem Turków, wiele bitew wygrał, twierdz zdobył, aż do owéj nieszczęsnéj bitwy pod Warną r. 1444, gdzie, dla niezgody wojska chrześciańskie zupełną poniosły klęskę, i Węgrzyni w ucieczce szukali ocalenia. Huniad dowodził w odwrocie.

Król Władysław poległ z kwiatem rycerstwa polskiego: haniebną tę klęskę przypisać należy szczególniéj zazdrości Drakuła, hospodara wołoskiego. Nienawiść jego do tego posunęła się stopnia, iż w odwrocie Huniada schwytał, i do więzienia wtrącił, z którego tylko przytomność baronów i prałatów węgierskich uwolnić go zdołała. Podczas małoletności prawego króla Władysława, on rządzcą państwa obrany, w zaciętéj walce z Turkami r. 1448, bez cudzéj pomocy, sobie samemu zostawiony, rzuciwszy się w rozpaczy na pięć razy liczniéjszego nieprzyjaciela, zwyciężony, ucieczką ratować się musiał. W głębokim pogrążony smutku cofając się z niedobitkami, spotkał w drodze poważnego starca, który z białym jak śnieg włosem, i długą brodą zaszedł mu drogę, i rzekł proroczym głosem: „gwiazda szczęścia nie prędzéj dla Chrześcian zajaśnieje, aż xiężyce i tureckie buńczuki zabłysną na murach Carogrodu.“ Proroctwo to, które się r. 1453 ziściło, sprawiło na jego umyśle mocne wrażenie: dlatego spokojnie przypatrywał się zdobyciu Konstantynopola przez Turków.

W téj ucieczce o mało nie schwytany od despoty Serbskiego Jerzego, opuściwszy swych towarzyszów, długo się błąkał samotny, nieraz w niebezpieczeństwie życia zostając; nakoniec głodem wycieńczony, powierzył się pasterzowi; lecz ten zamiast na wolność, zaprowadził go do Semendryi i wydał Jerzemu, który jednak nie mógł się z Amuratem zgodzić o cenę za jego głowę. Tymczasem zbliżyło się węgierskie wojsko i uwolniło Huniada z więzienia.

Jak się spodziewać było można, wypuszczony na wolność Huniad, dał się zaraz poznać swym nieprzyjaciołom i przymusił Fryderyka cesarza do wydania małoletniego Władysława r. 1452, a złożywszy w jego ręce godność namiestniczą, znowu na czele Węgrzynów wyruszył przeciwko Turkom. Sławny Franciszkan, Jan Kapistran, przyprowadził mu na pomoc znaczne mnóstwo mieszczan i wieśniaków, z którymi wpadł do Belgradu; tutaj od Turków zamknięty, zdołał męstwem swojém prawie cudownego dokonać dzieła: i tą razą udało mu się rozproszyć Turków r. 1456. Był to ostatni czyn tego wielkiego człowieka; w rok bowiem potém umarł na zarazę morową w Semlinie.

O wystawie poznańskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Szczegóły o jego osobie, rozmaite wypadki jego życia, a nawet i trafne dowcipki, jakie po nim w tych starych biografiach spisano, świadczą, że wcale inaczéj go sobie wystawiała wyobraźnia spółczesnych, niżeli go utworzył potężny gieniusz poźnego potomka. *)

Najrozmaitsze koncepta, całą biografią niemieckiego Fausta zapełniają i okazują wesołego i bezbożnego trefnisia, nie zaś męża rozpaczającego, jakiego nam Göthe wystawił. Mickiewicz nasz, jakkolwiek lepiéj pojął Twardowskiego, nie wyczerpnął atoli zupełnie poetyckiéj téj postawy. Faust niemiecki był uczonym i doktorem, a czarodziejcą został z ciekawości rzeczy utajonych ludzkiemu oku: nasz Twardowski był zaś szlachcicem, co djabłu duszę zaprzedał, aby lepiéj hulać, używać i dogadzać psotnéj myśli: dokazywał więc nie mało, ale chociaż grzeszył ciężko, została w nim jednak cnota. Faust był zamordował człowieka i zmazał się wielu zbrodniami; Twardowski zaś tylko na figla kogo zaklął lub zaczarował. Czcił on słowo szlacheckie nad życie, nawet wieczne, czego dowiódł odłożywszy ochrzcone niemowlę, którém się zastawił był przed biesem. Charakterystyczny ten rys narodowy stanowi, że tak rzekę, treść całéj powieści; żaden szlachcic ówczesny, najbogobojniéjszy nawet, nie śmiałby był zganić Twardowskiego, o dotrzymanie słowa biesowi. Znalazła wprawdzie wyobraźnia ówczesna inną wycieczkę. Wszakże to powieść niesie, że Twardowski był wymyślił ulubione kantyczki; on też to w obłoki unoszony przez biesa, przypomniał sobie jednę z kantyczek, a ledwie ją zanucił, bies go opuścił i zostawił w powietrzu, gdzie do dziś dnia wisi. Tak twierdzi gmin pospolity i krakowscy wskazują pasterze. Ztąd też przysłowie: »ratował się, jak Twardowski kantyczką.« Myśl ta fantastyczna, któréj malarstwo nigdy nie wyda, byłaby najstósowniéjszą do poetycznego obrazu. Czego Mickiewicz nie dokonał, niechaj inni po nim uczynią. Wszakże i po Göthem inni wieszcze Fausta z martwych wskrzeszać śmieli. Wspomnienia Twardowskiego przecież u nas żywsze, bliższe i świadomsze każdemu. Rycina Twardowskiego z djabłem, jaką w zbiorze swoim umieścił Oleszczynski, wcale nie odpowiada wyobrażeniu, jakie nam o nim gminna wieść podaje.

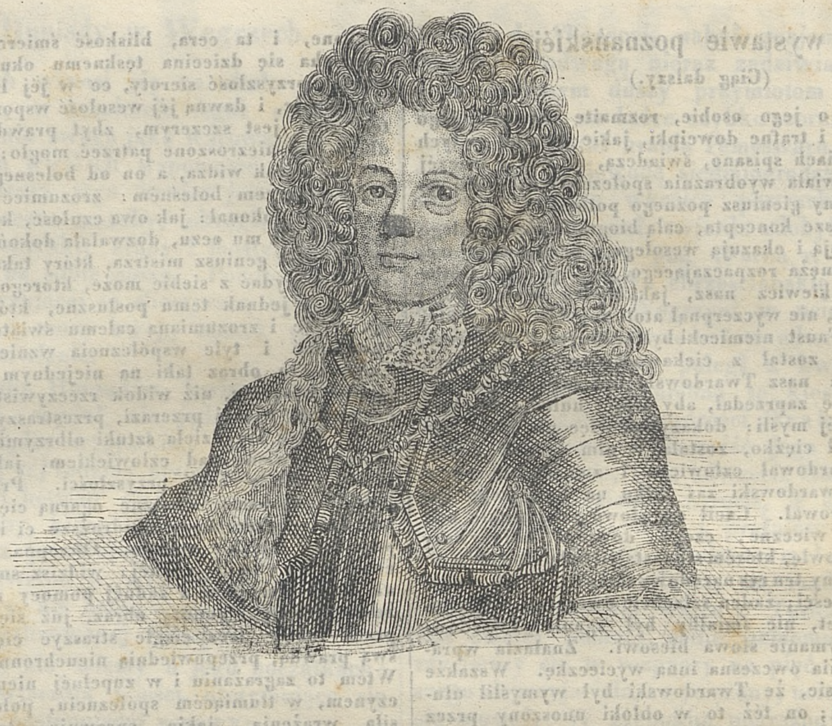
Trzeci salon od pierwszego wejrzenia, silniejsze sprawił wrażenie na widza: zebrano w nim naumyślnie wiele pięknych i kosztownych obrazów, aby uwieńczyć wystawę i podnieść uczucie radości i roskoszy, jakiém napajała swych gości. Najpiękniejszy z obrazów téj sali, był »chory radzca miejski« Hildebranda. Umieścilem rysunek, **) z którego układ całości poznać można; koloryt jest blady, i płowy, tak na licach chorego, jako i na ubiorze, sprzętach; taki jedynie mógł przystać téj tęsknocie, w któréj całe tło obrazu jest omgloném. Najbladszym jest na nim wizerunek zmarłéj żony radzcy, najżywsza zaś barwa przystała czerwonym i wesołym licom dziewczynki: zgadniesz, że nadwołana córeczka hoża, szafarka rodzicielskiego domu, z uśmiechem w oczy ojcu zaglądając, ani wie, co znaczy ta chmurka, na czole jego osiadła, albo ta boleść nad ustami i te powieki znękane, i ta cera, bliskość śmierci zapowiadająca. uśmiecha się dziecina tęsknemu oku, co przewiduje smutną przyszłość sieroty, co w jéj licach rysy matki rozpoznaje, i dawną jéj wesołość wspomina. Nie, obraz ten zbyt jest szczerym, zbyt prawdziwym, aby nań długo oko niezroszone patrzeć mogło: mimowolnie łza zamgli wzrok widza, a on od bolesnego usunie się widoku z sercem boleśném: zrozumieć nie zdołasz, jak go malarz dokonał: jak owa czułość, która go natchnęła, nie zalewała mu oczu, dozwalała dokończyć tych rysów. Wielki jest gieniusz mistrza, który taką boleść ogarnąć, znieść i wydać z siebie może, którego serce gieniuszowi równe, a jednak temu posłuszne, który boleść cudzą tak pojąć i zrozumianą całemu światu powierzyć, wyspowiadać i tyle współczucia wzniecić w nas umie. Czemuż to obraz taki na niejednym silniejsze nawet sprawi wrażenie, niż widok rzeczywistego nieszczęścia, czemuż go więcéj przerazi, przestraszy, rozczuli i zmęczy? Gdyż arcydzieła sztuki olbrzymiém swojém wrażeniem zawisną nad człowiekiem, jako miecz Damoklesa, grożący całéj przyszłości. Przed Hildebranda bowiem obrazem, straszne ogarną cię przeczucia: że taki los spotkać może najdroższe ci istoty, krewnych, przyjaciół i ciebie samego. Okropna ta boleść, schwycona w téj chwili jedynéj: widzisz smutek, walący się na duszę cierpiącą, a żadnéj pomocy nieść jéj nie możesz. Niemy i ponury obraz, już się nie uśmiechnie przed tobą: lecz ciągle straszyć cię będzie bolesną swą prawdą, przepowiednią nieuchronnego nieszczęścia. Wtém to zagrażaniu i w zupełnéj niemożności ulżenia czynem, w tłumiącém spółczuciu, polegla cała moc i siła wrażenia, jakie sprawuje takie arcydzieło: czy te wybladłe lica chorego radzcy Hildebranda, czyli też równie smutny obraz śmierci więźniów Czyllonu, w suchotach ducha wyziewających, jaki mistrz Byron nam skreślił, czyli inne wejrzenia w głąb serc konających i podsłuchy cichnącego ich bicia: wszystkie te dźwięki, obrazy i najszczersze spowiedzi ludzkiego cierpienia, ogarną i owładną duszę i do tych sfer ją wznoszą, gdzie ją nadludzkie, niebiańskie czekają pociechy. Dzięki więc mistrzom, którzy nas wyrywają z pośród tego padołu powszednich uciech i niebacznéj roskoszy, aby z wynioślejszego szczytu obszerniéjsze wskazać nam pole: a jeśli ród dzisiejszy przestał być zdolnym do skreślenia w naiwnéj wierze owych, boskich kształtów, jakie odstwarzał był Rafael, niechaj przynajmniéj zwraca myśl naszą do tego kresu, w którym się kończą usiłowania, a mocniejsza potęga duchowa władać poczyna.

Obok Hildebranda, zawieszono p. Heilbeckera kopią sławnego obrazu Bendemana: Jeremiasza na ruinach Jerozolimy. Obraz ten dość europejską ma sławę, abym się ważył nieudolne własne dołączać pochwały: Paryż powtórzył oklask Berlina nad tym najkosztowniejszym płodem, który i wielkością biblicznych pomysłów i surową klassycznością wykonania nad wszystkich celuje: jeszcze lat młodzieńczych nie przebył, a téj sławy, jaką mała liczba współżyjących osięgnie, dokupił się jedynie dwoma obrazy: żydów płaczących w niewoli babilońskiéj, i Jeremiasza, na gruzach Jerozolimy. Przed czterema laty, powitano pierwszy obraz z podziwieniem: każden albowiem wątpił, aby wiek obecny był jeszcze zdolnym do wstępowania tak silnie w olbrzymie ślady Michel Angela. Pod drzewem siedzący starzec, z trzema córkami, łzy roni nad niewolą Syonu: zdaje ci się, że słyszysz jeszcze owe w księgach biblijnych przechowane pienia i jęk żałości, i że wraz z utrapionymi pociechy szukasz we łzach, w modlitwie i w rytmie, natchnionym nadzieją. Wspomnij ów wiersz Byrona tak znany i tak szczęśliwie w naszéj mowie przełożony:

Płaczcie, wy, co nad Fratu płakali strumieniem;
Których ołtarz ruiną, ojczyzna marzeniem!
Płaczcie! Strzaskana Judy arfa nieszczęśliwa;
Płaczcie! bo gdzie Bóg mieszkał, bezbożnik przebywa.

*) *Jest w tém życiopismie, czyli téż w inném dziele (bibliotheca magica) wizerunek Fausta, gdzie mu rytownik nadał bardzo wysokie czoło, twarz okrągłą, wielkie okrągłe oczy, nos mały zadarty, i usta pełne wyrazu. Całe oblicze tchnie gieniuszem, który szczególnie w oczach pała; usta atoli psotny dowcip a poniekąd i lubieżność wyrażają. Szczęśliwy instynkt malarza naprowadził go na wszystkie te cechy znamienite, które w charakterze jego bohatera gminna powieść zakreśla.* Uw. Aut.

**) N. 30 r IV. P. L.



Jakób Sobieski, pierworodny syn króla Jana III.

I gdzież wreszcie Izrael krew nóg swych obmyje?
I kiedyż hymn Syonu przestanie być jękiem?
Kiedyż znowu o smutne serca się odbije
Ta pieśń Judy, co wdzięcznym poiła je dźwiękiem.

Gdzież spoczniecie, i w którą udacie się stronę,
O! smutne pokolenia, dawniéj Bogu miłe?
Ptaszek ma swoje gniazdo, dziki zwierz zachronę,
Wszyscy mają ojczyznę, Izrael mogiłę.

F. M.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jakób i Konstanty Sobiescy.

Najsławniejszy czasu swego wojownik Jan III., zwycięzca Turków pod Chocimem, zbawca Wiednia, ulegał prawie zupełnie swéj małżonce Maryi Kazimirze, która na złe używała téj króla powolności: ztąd przedajność urzędów w kraju, ztąd niezgoda w familii królewskiéj.

Świetne zwycięztwo Sobieskiego, pod Podhajcami, odniesione na Tatarach i Kozakach (r. 1667), nie taką serce hetmana napełniło radością, jak gdy wracając do Warszawy odebrał wiadomość, że jego małżonka powiła syna w Paryżu, dokąd była wyjechała dla odwiedzenia krewnych. Ludwik XIV. trzymał go do chrztu, na którym nazwany Jakób, Ludwik, łącząc imię swego sławnego dziada, z imieniem wielkiego króla.

Mając dopiero lat 16 młody xiążę, prosił ojca swego, aby mu pozwolił dzielić trudy obozowe wyprawy wiedeńskiéj. Król przychylił się do téj prośby. Wiadomo z listów tego króla do swéj małżonki, że w bitwie pod Wiedniem królewicz walczył obok swego ojca, a w nieszczęśliwéj bitwie pod Parkanami zaledwie zdołał ucieczką ocalić życie.

Król Jan III. zamierzał w młodym jeszcze wieku (bo dopiero miał lat 13) połączyć go ślubem małżeńskim z trzynastoletnią xiężniczką Ludowiką Karoliną Radziwiłłówną, dziedziczką Bogusława Radziwiłła, ostatniego dzielnicy Birżańskiéj potomka; lecz elektor brandenburski uprzedził króla, ożeniwszy z nią syna swego Ludwika. Atoli, gdy tenże r. 1688 umarł, znowu się król starał skojarzyć to małżeństwo z pozostałą wdową: już nawet zaręczyny do skutku przyszły; tymczasem po oddaleniu się królewicza do Warszawy, xiężniczka niespodzianie poszła za xięcia Neuburg: co króla Jana bardzo obraziło. Dwór austryacki, dla ułagodzenia króla, ofiarował królewiczowi kapelusz kardynalski; lecz ten nie mając powołania do stanu duchownego, wolał przyjąć inną propozycyą cesarzowéj, to jest, aby pojął za żonę Elżbietę Amalią, siostrę xięcia Neuburg, co téż wkrótce nastąpiło. Żądano, aby xiążę Karól Neuburg sam przywiózł siostrę królewiczowi Jakóbowi do Częstochowy, dając mu niejako satysfakcyą za pokrzywdzenie dawniejsze. Lecz nie przyszło do tego; xiężniczka jechała na Wrocław. Za Sycowem spotkał ją królewicz, zkąd na Kempno jechali razem do Warszawy.

Król tymczasem nie miał inszéj dla siebie pociechy, jak zbierać skarby, w czém jednem



Konstanty Sobieski, trzeci syn Jana III.

królowa wiernie mu dopomagała, przedając urzędy więcéj dającemu. *) Było także zamiarem króla zdobyć Multany i Wołoszczyznę dla synów swoich, co go wplątało w długie a szkodliwe dla kraju wojny tureckie. Los zawistny nowe mu w własnym domu zbudził niesnaski. Królowa wkrótce znienawidziła synową, i syna swego, królewicza Jakóba; i dla tego tenże, aby uniknąć tysiącznych nieprzyjemności i obelg, co chwila od matki wyrządzanych, niechciał z żoną swoją jechać na Ruś z królem i królową, wymówił się z wyprawy na Wołoszczyznę, chociaż mu król przekładał, że nie około Czerska, ale na Rusi sławy szukać trzeba. Tymczasem i ta wyprawa skończyła się na niczém.

Po śmierci króla (r. 1696) królewicz Jakób tak był pewnym tronu, że już gwardyom swoim w Warszawie przysięgać sobie kazał: ale go omyliła nadzieja: do téj niechęci narodu przyczyniły się ostatnie niesforne i uciążliwe rządy króla Jana, a nawet sama królowa; urażona o to, że jéj syn Jakób niechciał wpuścić do zamku, i skarby królewskie w Warszawie zapieczętować kazał, tak się rozgniewała, że wszystkim odradzała, aby go królem nie obierano. Nieubłagana i pełna nieufności matka, wpuszczona do zamku, nie chciała inaczéj wydać korony dla nieboszczyka króla, jak za uroczystém upewnieniem królewicza Jakóba, że jéj zostanie wróconą. Tak przez kilka dni kapelusz tylko leżał na głowie Jana III., gdy się familia jego o skarby kłóciła. Kłótnie między matką a królewiczem Jakóbem nie tylko, że się nie uspokoiły, ale po uczynionym podziale skarbów w Zołkwi, tak się rozjątrzyły, że gdy sejm konwokacyjny się zaczął dn. 27. Sierpn. 1696 r. w wielkiém zamieszaniu niezgodnych umysłów, królowa na liczném zgromadzeniu osób, uniesiona gniewem i zapalczywością, zaklinała publicznie wszystkich: „aby żadnego z synów jéj, a mianowicie Jakóba, na tron nie obierali.“

W województwie krak. królewicz Jakób najwięcéj miał głosów, w innych podano elektora saskiego. Prymas obstawał za xięciem franc. Conti. Gdy dwór austryacki przystał na elektora saskiego, partya królewicza Jakóba, połączyła się z partyą saską, a tak chociaż przeciwna partya Contego królem ogłosiła, elektor saski wziął przewagę. Lubo xiążę Conti przybył z eskadrą na wybrzeże Gdańska, ale gdy poznał, że dopiero o koronę dobijać się trzeba, przekładając roskoszne w Paryżu życie i skarby dziedziczne nad niepewną koronę, niebawem wrócił do Francyi.

*) Gdy biskupstwo krakowskie zawakowało, rzekła królowa do Jana Małachowskiego, biskupa chełmskiego: «Załóż się waszmość zemną o 50000 tal., że biskupstwo krak. waszmości się dostanie.» Nie mógł odmówić biskup zakładu, a otrzymawszy biskupstwo zapłacił chętnie przegraną summę. Jan Chryzostom Załuski, biskup warmiński, podobnymże sposobem musiał sobie torować drogę do łaski królowéj: kupił najprzód apteczkę srebrną z puszeczkami pozłacanemi, za kilkaset dukatów i ofiarował królowéj; a gdy apteczka nie pomogła do łaski, ofiarował ołtarz srebrny za 10000 tal. pierścień, drogi i dwa krzyżyki, co nareszcie tyle sprawiło, że został kanclerzem królowéj i usłał sobie drogę do wyższych urzędów. Bandtkie w hist. Polski. Tom II. p. 459.

Królewicz Jakób, zamiast na tronie, ujrzał się po zgonie ojca swego w więzieniu w Lipsku, z którego wypuszczony pod warunkiem, aby w prywatnym stanie w Szląsku życie swoje zakończył. Królewicz Konstanty uciekłszy z tegoż więzienia, ożenił się w Polsce z baronowną niemiecką, córką damy honorowéj xiężniczki Neuburg: małżeństwo, które skojarzyła miłość, a zgryzota napróżno rozerwać usiłowała.

Królewicz Alexander, drugi syn Jana III., udał się do Rzymu, gdzie się Papież z nim wcale widzieć nie chciał z powodu honorów królewskich, których wymagał: zamiast tych, otrzymał kapucyński habit, wkrótce przed swym zgonem (r.1696); królowa także w Rzymie resztę dni swoich przepędziła, lecz nakoniec sprzykrzywszy sobie pobyt i życie pomiędzy xiążętami kościoła, wróciła do Francyi i umarła w zamku Blois, który jéj Ludwik XIV. dał na schronienie.

O tłómaczeniach.

Są ludzie albo tak nieszczęśliwi, albo tak niedbali, iż zaciągnąwszy się w nałóg ustawicznéj pożyczki i jałmużny, żyją ciągle o cudzym chlebie, i ani myślą wyjść z tego położenia, mimo wszelkich przykrości i upokorzeń, do niego przywiązanych. Między takimi biedakami, a naszą literaturą, było przez długi czas podobieństwo; dziś nawet nie zupełnie zniknęło.

Od końca mianowicie przeszłego wieku, pisarze polscy rozchorowali się powszechnie na tłómaczenia. Zaczęło się to bardzo naturalnie, (o czém na inném miejscu miałem sposobność mówić): ale nieszczęściem tak nam do gustu przypadło, i wszystkie gałęzie piśmiennictwa naszego objęło, i weszło, że tak powiém, w krew naszych autorów: że nawet teraz, kiedy literatura krajowa coraz widoczniéj rośnie, i o swojéj własnéj sile krzepić się zaczyna, jeszcze się od tłómaczeń, od téj mówię pożyczki i jałmużny cudzoziemca, nie odrażamy.

Gdy się zastanawiam nad tą u nas maniją tłómaczeń, dwie jéj główne upatruję przyczyny: słabość, jaka niestety była zawsze w Polakach, dla wszystkiego, co z zagranicy; i chęć jak największego ułatwiania sobie wszelkiéj roboty, czyli, mówiąc bez ogródki, lenistwo. Łatwiéj jest xiążkę gotową przetłómaczyć, zwłaszcza byle jak, niż xiążkę nową samemu napisać; więc też tłómaczymy wszystko: zacząwszy od dzieł filozoficznych i politycznych, aż do lada powiastki, lada sztuczki teatralnéj, lada bajki o motylu, o kurze, o zającu; wreszcie aż do sposobu kwaszenia ogórków, bo i o tém ogłosił ktoś broszurę z niemieckiego, jak to niedawno, przerzucając jakiś księgarski katolog, wyczytałem.

Nie przypisywać sobie rozumu w tém, w czém go kto nie ma, ani zdolności, jakich komu pan Bóg nie dał, i szukać chętnie światła u drugich: jestto zapewne bardzo chwalebnie; ależ dobrowolnie czynić z siebie niedołęgę, i gdzie można iść, nawet biegnąć samemu, tam wyciągać ręce, żeby nas koniecznie drudzy prowadzili: byłoby niegodnie i haniebnie. Nikt tego we mnie nie wmówi, żeby polski rozum nie wystarczył n. p. na ukwaszenie jakiéj jarzyny, na upieczenie dobrego chleba i t. p., a jednak polscy autorowie o takich rzeczach piszący, zamiast pójść na naukę do naszych folwarcznych bab, udają się raczéj do bibliotek cudzoziemskich, i znoszą nam jakieś tłómaczenia. Od świata jarzyn i zboża przechodząc do świata myśli i uczuć, przecież także możem sobie bez pochlebstwa powiedzieć, że i tu bylibyśmy w stanie, coś sami przez się, bez łaski Francuza, Niemca, lub innego cudzoziemca napisać: boć za pozwoleniem panów tłómaczy, Polak także, dzięki Opatrzności, ma nie tylko ręce i nogi, ale téż głowę i serce.

Gdyby tłómaczono same dzieła niepospolite, płody rzadkiego talentu, nadzwyczajnéj nauki: łatwiéjby jeszcze powiedzieć, że o te dzieła niepospolite, o te rzadkie talenta, o tę nadzwyczajną naukę w kraju naszym trudno, więc trzeba brać je od obcych. Ale przeciwnie; to n. p. co stanowi sam kwiat, samą koronę literatury niemieckiéj, ledwie że dotychczas jest tknięte od naszych tłómaczy: a rzućmy okiem na piśmiennictwo bieżące, codzienne, na xiążki o rzeczach pospolitych, i pisane przez ludzi pospolitych; weźmy do ręki jakikolwiek katolog nowych dzieł polskich: można się założyć, że przynajmniéj w trzeciéj części będą tam same tłómaczenia. W czém najjaśniejszy dowód, że tłómaczymy, nie z potrzeby, ale z nałogu; i nie dlatego, żeby nam na własnych zdolnościach zbywało, ale przez jakieś dziwne ważenie sobie tego, co zrobi cudzoziemiec, tudzież przez wstręt od pracy własnéj.

Ztąd wielkie ponosim szkody.

Naród, podobnie jak pojedynczy człowiek, żeby mógł sprawić co większego, czy to w literaturze, czy w jakimkolwiek inszym zawodzie, musi uczuć się na siłach, sprobować je, i mieć w sobie samym pewną ufność. Są, którzy dla tego tylko chorują, iż wmówili w siebie, że słabi, i że o siłach, które rzeczywiście mają, nie wiedzą. Nie chciałbym ja pobudzać Rodaków moich do zarozumiałości, zwłaszcza, że nam i tak nie zawsze na niéj brakuje; życzyłbym wszakże, żeby pod względem literackim (ponieważ o tém jednem tu mowa) lepiéj się na siłach swoich uczuli i lepiéj się na sobie poznali. Kładąc we wszystkiém głowę pod xiążkę cudzoziemców, głuszymy w sobie koniecznie myśl własną: nie dopuszczamy jéj działać, rosnąć, rozwijać się. Śmiało twierdzić można, iż cały piśmienny, umysłowy ruch w narodzie naszym, stałby się niezawodnie żywszy, dzielniejszy, powszechniejszy, gdybyśmy przez ten ze wszech stron nacisk cudzoziemczyzny, sami go ustawicznie nie hamowali, gdybyśmy z tego jarzma tłómaczeń raz się wydobyli.

Lecz tłómaczenia nie tylko, że samą myśl w nas tłumią, i w stanie ciągłéj niewoli trzymają; jeszcze psują najwalniejszy jéj instrument:

język. Nigdy w Polsce nie tłómaczono tyle, co w przeciągu ostatnich lat czterdziestu; nigdy też język polski tak przeraźliwie, jak w tym czasie, nie skaleczał i nie znikczemniał; nigdy, mówię, gdyż w epoce makaronizmów umiano jeszcze po polsku, chociaż dla szalonéj mody pisano pół po polsku, pół po łacinie. Rzecz bardzo naturalna. Język nasz, jeden z najdziwniejszych, i najpotężniejszych na świecie, nie jest wcale, jak inne i prawie wszystkie europejskie, skończony w sobie, raz na zawsze na miejscu stojący, i że tak rzekę zdrewniały. Nie zamknął się w bezwarunkowe i nieuchronne formy, i zdaje mi się, że nigdy zamknąć się w nie nieda: jest bowiem z natury swojéj ducha swobodnego, bujającego, nieujętego; jest ruchów szerokich, najrozmaitszych, ustawicznych, w mgnieniu oka w inne kształty wpadających. Inszy jakikolwiek, n. p. francuzki, tak już został we wszystkiém zbadany, określony, i w kluby wzięty, iż możnaby mówić, że składa się nie z pojedyńczych wyrazów, ale z gotowych frasesów. Nasz, w całym swoim składzie, rusza się wszystek jak liście lasu ogromnego. Jest przytém tak pełen natchnienia, w najmniejszy kąt myśli i czucia dostający, a w ruchach swych odmienny i nieprzewidziany, że pisząc nim, można czasem przez dobranie jednego tylko słowa, jednego przymiotnika, zdziwić i talentu dowieść; kiedy we francuzkim przeciwnie, każdy prawie rzeczownik ma swego koniecznego, urzędowego przymiotnika, przed którym jakby przed zawziętym i prześladującym przystawem *) ledwo gdzie na moment schować się może. Ta osobliwa ruchawość i żywość naszéj mowy, nadając jéj wielki urok, i stylowi domowych a talentem obdarzonych pisarzy przynosząc uderzające i zawsze świeże piękności, sprawia właśnie, że wszelkie tłómaczenia, oprócz z łacińskiego, muszą być dla niéj bardzo niebezpieczne; wyjmuję łacinę, z téj bowiem przekładać na polskie jest często ledwo nie to samo, co pisać odrazu po polsku. W istocie, tłómacz n. p. francuzki, mierny nawet, skrępowany formami i nałogami swojego stylu, i mając zawsze pod ręką gotowe całe frazesy, całe niemal peryody: łatwo prawda będzie niewierny, lecz może być gładki i poprawny. Tłómacz polski, nawet bieglejszy, da się wnet porwać textowi, który przekłada: a mogąc za nim, przez naturę swego języka, iść krok w krok; i ten język, ruchomy jak żywe srebro, mogąc na wszystkie strony zwracać i puszczać; jest prawie niepodobieństwo, żeby go gdziekolwiek nie zwichnął, na bok nie przegiął, i w toki cudzoziemskie nie skręcił. Tak o tém jestem przekonany, iż zdaje mi się, że nawet pisarz tak baczny i wprawny, jak był n. p. Jan Śniadecki, nie tylko że w tłómaczeniach nie miałby nigdy tych wielkich zalet stylu, w jakie ubierał swoje pisanie rodzone, lecz nawet dla samego ustrzeżenia się obczyzny, dla zachowania mowy w czystości tylko, musiałby tłómacząc, pracować nierównie więcéj niż pisząc z głowy. Cóż dopiero mówić o tłómaczach pospolitych?

Na te panujące u nas tłómaczenia tém bardziéj muszę ubolewać, że gdy z jednych względów tak są szkodliwe, z żadnych innych nie widzę, żeby były rzeczywiście użyteczne. W Polsce znajomość języków jest powszechniejsza, niż gdziekolwiek. We Francyi wcale ich nie umieją; w Niemczech i drugich krajach umieją je tylko uczeni. Między polskimi czytelnikami bardzo rzadko, żeby który nie umiał po francuzku, albo po niemiecku. Tymczasem, tak się właśnie dzieje, że z tych dwóch języków najwięcéj miewamy tłómaczeń. Pytam się, komuż te tłómaczenia mogą być potrzebne? Kto będzie czytał złe, a choćby nawet nie złe, tłómaczenie téj saméj xiążki, którą może czytać w oryginale? Bardzo więc naturalnie, iż owe tłómaczenia zawalają xięgarnie towarem niezbytym, gnijącym, zrażają wydawców, i w ogólności cały w nas xięgarski handel paraliżują.

Dziwna jest polskich tłómaczy nietrafność. Nie uczą się oni tych języków, co są mniéj w kraju umiane, a więc z których przekłady mogłyby przez to samo być dla nas przydatniejsze. Włoski, angielski, hiszpański, są dziś bez porównania mniéj Polakom znajome, jak francuzki i niemiecki: więc też i nasi tłómacze wcale się do tych języków nie biorą, lub tylko niesłychanie rzadko, a zaprzątają się wyłącznie francuzczyzną i niemczyzną.

Nie wypowiadam ja wojny wszystkim bez wyjątku tłómaczom. Wyłączam naprzód pracujących nad łaciną. Tych, dla natury naszego języka, dla jego powinowactwa z łacińskim, nic się prawie nie obawiam. Z niemałą owszem pociechą dowiedziałem się o przedsięwzięciu szanownego Edwarda Raczyńskiego (którego, z gorliwości o krajową literaturę, mogą dziś Poznańczycy stawić za przykład obywatelom wszystkich stron Polski) wydania tych z rzymskich klassyków, którycheśmy dotychczas u siebie nie mieli. Daj Boże, żeby to wielkie i trudne dzieło szczęśliwie do skutku przychodziło. Nie tyle nam w niém na liczbie autorów, ile na piękności przekładu zależy. Co za nieodżałowana szkoda, iż żaden z Zygmuntowskich, którzy się i na polszczyznie i na łacinie tak doskonale znali, nie zostawił nam przynajmniéj Liwiusza.

Wyłączam powtóre wszystkich mających trafność w wyborze roboty i talent w jéj wykonaniu. Piękny przekład każdego dzieła wielkiego, czyli, jak mówimy, arcydzieła, dawnéj czy nowéj literatury jakiegokolwiek narodu, będzie zawżdy pożądany i użyteczny. Do takich zapewne Publiczność policzy, między innémi, zapowiedziany teraz przekład kilku sławnych poematów angielskich przez A. E. Odyńca. *)

*) Dawny wyraz, znaczący to samo, co ustawiczny przyboczник, umyślnie komu na usługę przydany.

*) Pierwszy tom, zawierający Dziewicę z Jeziora, wyszedł w Lipsku 1837.

Ale nałóg powszechnego, niebrakowego, ustawicznego tłómaczenia; to nieszlachetne puszczenie się na otwartą i ciągłą u najpospolitszych Francuzów i Niemców jałmużnę, wystawiające nas za takich żebraków, takich bankrutów i niedołęgów umysłowych, jakobyśmy sami przez się nie mogli wcale znaleść sobie sposobu do życia, i żadnych ku temu zdolności i sił nie czuli; ta mówię plaga, ta powszechna choroba, z lenistwa i dziwnego zamiłowania obczyzny pochodząca, a od lat już tak wielu piśmiennictwo nasze trapiąca, powinny nas zawstydzać, oburzać, i powstaję i biję przeciw temu jak najmocniéj. Gdybyśmy dłużéj oczu na to nie otwarli, pokazalibyśmy się osobliwszemi samych siebie wrogami. Niemasz dla narodu straszliwszego samobójstwa, jak ustawicznie tłumić w sobie myśl, zapisać ją na wieczną niewolę obcemu, i nie dawać jéj rodzić, ba nawet rozwijać się i ruszać się. Wiecznie tłómacząc drugich, możem wprawdzie mieć xiążki prozą i wierszém: ale literatury mieć nie możem. Wiecznie tłómacząc drugich, sami nigdy tłómaczeni nie będziem; i całe piśmiennictwo nasze będzie rzeczą martwą, nieżywotną, i w gruncie nic nieznaczącą. Jest też i to niezawodna, że polski język nigdy się z dzisiejszego upadku nie podniesie, tylko w pisaniu rodzimém, domowém, pod myślą polską, narodową.

S. W.

Elekcya królów polskich.

(Ciąg dalszy.)

Do obcych należeli książęta cudzoziemcy, do swoich nie tylko synowie lub krewni zmarłego króla, lecz każdy szlachcic Rzpltéj polskiéj. — W roku 1696 przez niechęć ku królowéj i królewiczom, gdy sejm przyzywny zerwanym został, postanowiono, iż każdy, za nieprzyjaciela ojczyzny uznanym będzie, ktokolwiek rodakowi do tronu dopomagać się odważy. W bezkrólewiu r. 1733 ustawa ta odwołaną została. W bezkrólewiu r. 1764 tylko swoich na kandydatów do tronu żądano.

Prawo wybierania króla, mieli nie tylko wszyscy senatorowie i szlachta przez wybranych z pośród siebie posłów, ale nawet każdy szlachcic osobiście, niemieszając się przecież do innych obrad sejmu elekcyjnego. Przed oborem Henryka powstało pytanie, czy każdy szlachcic osobiście ma prawo wotować na elekcyi. Jan Zamojski, podtenczas poseł bełzki, utrzymywał, iż prawo to powinno służyć każdemu, gdyż każdy osobiście musi się stawić na pospolite ruszenie. Za Zamojskim poszła większość, i lubo nigdy o tém niestanęło prawo, ściśle się tego trzymano. W konfederacyach generalnych z r. 1696 i 1733 wzywano szlachtę na elekcyą, jak na pospolite ruszenie.

Oprócz szlachty, od elekcyi Władysława IV. nadano także niektórym miastom prawo głosowania na króla, przez wybranych posłów. Początkowo miały to prawo Kraków, Poznań, Wilno i Lwów. Na króla Michała głosowała także Warszawa, a na Stanisława Augusta i Kamieniec Podolski. Z miast pruskich służyło to prawo Gdańskowi, Toruniowi i Elblągowi. Na niektórych elekcyach są podpisy i miasta Rygi. Posłowie miejscy mieli tylko prawa pojedyńczego szlachcica i pisali na dyplomach elekcyjnych swe nazwiska za wszystką szlachtą swego województwa.

Xiążęta polscy lenni, żądali także prawa głosowania na elekcyi, lecz to im również jak i wojsku nigdy udzieloném niezostało. Z wojska, każdy pojedyńczy jako szlachcic mógł głosować w swojem województwie. W bezkrólewiu r. 1632 napróżno o pozyskanie tego prawa starali się Kozacy, z oburzeniem [a]) nawet odprawiły ich sejmujące stany, iż, nigdy do żadnych obrad niewpływają, zkąd do elekcyi rościć prawo sobie mogą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do Grabarza.

Zrób mi domek grabarzu,
Na krakowskim cmentarzu;
Bo w chaty i pałace,
Wszędzie bieda kołace.
Mój grabarzu!
W domku twojéj roboty,
Mieszka mówią sen złoty,
Bez marzenia, bojaźni
O los swój, los przyjaźni.
Mój grabarzu!
Jam w lat młodych swobodzie,
Stawiał zamki na lodzie;
Lecz poznaję w téj dobie
Pewniéj ufność mieć w tobie.
Mój grabarzu!
Dom więc dla mej posługi,
Ma trzy łokcie być długi;
Drugie tyle wysoki,
A półtora szeroki.
Mój grabarzu!
Staw go czołem do wschodu,
Do krakowskiego grodu;
By od lubéj rodziny,
Wiatr mi nosił nowiny.
Mój grabarzu!
A niech stoi pod drzewem,
By mi nucił ptak śpiewem;
I przychodzień siadł w cieniu,
Podumać na kamieniu.
Mój grabarzu!
Niech go latem i wiosną,
W koło kwiaty obrosną;
Niech wie, kto przed nim stanie,
Że to szczęścia mieszkanie.
Mój grabarzu!
Nie mów, nie mów, żem młody,
Na takowe wygody;
Wszak wiesz, że nie ucieche,
Co się chwilkę odwlecze.
Mój grabarzu!

J. N. J.

a) Non vero mirum est, milites ex nobilitate lectos hoc sibi jus assumisse, cum etiam Cosaci in electione Uladislai Regis jus suffragii sibi dari postularent; sed plane sunt repulsi, ut gens ex ultima plebe collecta, P. Piasecki. (Chron. gest. in Eup. singul. ad an. 1632. f. 530.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Cicchański.*)